



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesław Kiszelka

## Na Podolu

Były ciepłe jesienne dni. Zapach palonych traw i jakaś szczególna cisza zawisła nad wzgórzami i dolinkami Podola. Podola, gdzie spędziłem moje najwcześniejsze i chyba najtrudniejsze lata dzieciństwa. Dookoła panował spokój i nic nie zwiastowało zbliżającej się tragedii. Wspomnienia tamtych lat jak obrazki ze starego fotoplastykonu kojarzą mi się z przeżyтыми zdarzeniami. Wiele z nich nawet teraz pamięć przywołuje gdzieś z podświadomości przypominając na przemian smutek, strach, a czasem i radość. Początek tragicznych dni wojny był bardzo zwyczajny. Rozmowy prowadzone wśród znajomych i przyjaciół moich rodziców, pobudzały wyobraźnię małego dziecka. Gorączkowo przygotowywano się do czegoś co miało nadejść.

Wreszcie stało się. Pamiętam łzy mojej matki i mocny uścisk ojca, który ubrany już w mundur – uniósł mnie do góry, postawił na stole, mocno wycalaował i wyszeptał: „Bądź zdrow”. Niewiele rozumiałem z tego co działo się wokół. Wiedziałem jednak, że dzieje się coś złego, coś niezwykłego i bardziej instynktownie, niż na podstawie zachowania otaczających mnie ludzi, odczuwałem jakiś niepojęty strach. Narastał on z dnia na dzień – potęgowany próbnymi alarmami lotniczymi, próbami masek gazowych, adaptacją piwnicy na schron, wreszcie magazynowaniem zapasów żywności i wody. Wszystko to nadawało sytuacji niecodzienny i złowrogi charakter. Dom, w którym mieszkaliśmy, położony był niedaleko stacji kolejowej, stanowiącej jednocześnie ważny węzeł komunikacyjny. Teraz kiedy piszę te słowa, zdaję sobie sprawę z tego, że było to mieszkanie obok „tarczy strzelniczej”. Czym naprawdę była lokalizacja naszego domu – przekonaliśmy się wkrótce.

Zaczęło się!

Wycie syren spędziło ludzi do piwnic i schronów. Głuchy pomruk bombowców mieszał się z rytmicznym szczekaniem działek przeciwlotniczych, jazgotem karabinów maszynowych i postukiwaniem broni pokładowej samolotów. Potem następowały ogłuszające wybuchy bomb. Każda detonacja wywoływała potworny wstrząs piwnicy, osypywanie się tynków i rumor spadających na ziemię przedmiotów. Grozę sytuacji potęgowały palące się świece, których płomienie przygasały przy każdym wybuchu, a głośno odmawiana modlitwa mieszała się z okrzykami strachu. Zarówno sceneria tej ponurej piwnicy, jak i wszystkie te odgłosy pozostały w mej pamięci do dziś. Po zakończeniu pierwszego nalotu i wyjściu z piwnicy, zobaczyliśmy ogrom zniszczenia w całym domu. Nie było tam ani jednej całej szyby. Wiele przedmiotów rozrzuconych było na podłodze. Dwoje drzwi podmuch wybuchu wyrwał z zawiasów. W wielu meblach i futrynach okien tkwiły odłamki pocisków. Matka uznała, że dalsze przebywanie w tym domu było zbyt ryzykowne, dlatego zabierając tylko niezbędne rzeczy postanowiła

przenieść się do – oddalonego znacznie od potencjalnych celów bombardowania – domu dziadków ze strony mego ojca.

Przebywaliśmy tam, mieszkając praktycznie w piwnicy do momentu wkroczenia armii sowieckiej. Ruszyliśmy do naszego domu akurat w momencie, gdy do miasta wkraczały oddziały tej armii. Utkwił mi w pamięci widok kolumny czołgów i maszerujących oddziałów dziwnie ubranych w szare, nędzne płaszcze żołnierzy, noszących na plecach woreczki na szelkach, a na głowach śmieszne, szpiczaste czapki z dużą czerwoną gwiazdą. Pamiętam też, że z całego „bojowego” rynsztunku żołnierzy, właśnie ta gwiazda zafascynowała mnie tak bardzo, że wszelkie widziane i słyszane bodźce wokół mnie, przestały się liczyć. Chciałem po prostu mieć taką wielką, czerwoną emaliowaną gwiazdę, którą nawiasem mówiąc, później, w drodze handlu wymiennego z rosyjskimi chłopcami, udało mi się zdobyć. Utkwił mi także w pamięci widok rosyjskiego żołnierza, eskortującego przed sobą jakiegoś cywila, który usiłował bezskutecznie coś wytłumaczyć, w wyniku czego oberwał tylko parę szturchańców zadanych lufą karabinu. (Widziałem później po paru miesiącach jeńców rosyjskich prowadzonych przez Niemców. Mnie jako dziecku trudno było ocenić standard wyposażenia żołnierzy, jednak w zestawieniu z dobrze uzbrojoną i raczej przyzwoicie umundurowaną armią niemiecką – Rosjanie wyglądali jak nędzni, wychudzeni żebracy. Parokrotnie idąc z któryś z rodziców widziałem transporty jeńców rosyjskich w czasie postoju pociągów w pobliżu stacji kolejowej. Widoku twarzy tych proszących o chleb ludzi – nie zapomnę nigdy. Wielu Polaków ukradkiem próbowało przemycić jakieś jedzenie, co nie było wcale bezpieczne, gdyż niemieccy konwojenci byli bezwzględni, a zastrzelenie człowieka nie było niczym niezwykłym). Po powrocie do naszego domu okazało się, że właściwie nie ma dla nas miejsca. Cały dom zajęty został przez jakiś sztab wojskowy, a w ogrodzie rozlokował się szpital polowy.

Po długich pertraktacjach mojej matce udało się wynegocjować jedno pomieszczenie, gdzie mogliśmy zamieszkać. Okazało się także, że w okresie naszej krótkiej nieobecności rozkradziono absolutnie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Praktycznie zostaliśmy bez żywności, odzieży, pościeli i tylko niezwykle zaradność mojej mamy pozwoliła nam na przeżycie.

Po pewnym czasie, sztab przeniósł się gdzie indziej i ponownie korzystaliśmy z całego zdezelowanego domu. Nie potrafię określić czasu trwania tego życia z dnia na dzień, pamiętam jednak wizyty panów w jaskrawoniebieskich wojskowych czapkach, którzy próbowali ustalić kim jest mój ojciec i gdzie przebywa. Po każdej takiej wizycie moja mama żarliwie pouczała mnie, bym niczego o ojcu nie mówił. „Nie wiem” – było to zdanie, które miałem wygłaszać jako odpowiedź, na każde pytanie o ojca.

Pewnej nocy ktoś cichutko zapukał do okna. Najpierw strach, potem łzy radości w oczach mojej matki były odpowiedzią na widok bardzo wychudzonego, obdartego i niezwykle zmęczonego mężczyzny. To był mój ojciec.

Okazało się, że był w drodze na grupowanie armii, gdy Rosjanie zaatakowali od wschodu. Z uwagi na niemożność sformowania jednostek oraz ze względu na niespodziewany atak przeważających sił ze wschodu, po kilku potyczkach rozwiązano szereg pododdziałów, sugerując podjęcie samodzielnych decyzji przez każdego żołnierza.

Nielatwo było ojcu zakonspirować się w oficerskim mundurze w nieprzychylnym ukraińskim środowisku, jednak dziwnym zbiegiem okoliczności, właśnie Ukrainiec, przypadkowo napotkany dawny podkomendny ojca, udzielił mu pomocy. W sekrecie przed swoimi, dał jakieś stare cywilne ubranie i trochę jedzenia. W ten sposób uratowany – szedł mój ojciec nocami, ukrywając się, pokonując pieszo wiele kilometrów.

Po powrocie ojca zaczęły się nowe kłopoty. Należało wymyślić w miarę wiarygodną wersję biografii, uprawdopodobniającą jego powrót do domu. Powstała zatem wersja o wcieleniu ojca do wojska (oczywiście jako szeregowca), skierowaniu go na front zachodni i późniejszej ucieczce z niemieckiej niewoli w Generalnej Guberni.

Dla wszelkiego bezpieczeństwa ojciec podjął wkrótce pracę jako drwal, pracując w tym charakterze zarówno podczas okupacji rosyjskiej, jak i niemieckiej.

Wkrótce zaczęły się ponownie wizyty funkcjonariuszy NKWD, potem wezwania na przesłuchania, z których często, wezwani już nigdy nie wracali. Memu ojcu się udało. Niemniej jednak, żyliśmy w ciągłym strachu, stale przygotowani na najgorsze. Słyszało się wokół o masowych aresztowaniach byłych oficerów i wywózce ich rodzin na Sybir. Dziecięce pojęcie czasu posiada inny wymiar. Dla mnie wszystko to trwało bardzo długo.

Ze strzępków rozmów prowadzonych przez dorosłych zrozumiałem, że znów zacznie się kolejna wojna, że znów trzeba się będzie chować i uciekać.

Rozpoczęły się walki niemiecko-rosyjskie, a wraz z nimi niemiecka ofensywa prowadzona z zachodu w naszym kierunku.

Przejęcie naszego miasta przez Niemców odbyło się właściwie bez większych potyczek. Jednego dnia byli tu jeszcze Rosjanie, następnego już Niemcy. Ci ostatni – na parę lat. Nastąpiły nowe porządki, wprowadzono zupełnie niezrozumiały dla mnie język niemiecki, zaczęły się kolejne aresztowania i łapanie. Powstało żydowskie getto. Coraz częściej wymieniano nazwiska znanych w mieście Żydów,

których wywieziono w nieznanym kierunku. Znów zawitali do nas nieproszeni goście – tym razem z gestapo, w towarzystwie Ukrainca – tłumacza. Znów powstała kolejna wersja wojennych przygód mego ojca – niemal prawdziwa (z wyjątkiem stopnia oficerskiego), gdyż naprawdę zakończył on wojnę na granicy wschodniej. Mijały szare, trudne dni czasu wojny. Jeden podobny do drugiego, bez cienia radości i nadziei na lepsze jutro.

Rada rodzinna ustaliła, że zacznę pobierać prywatne lekcje na poziomie pierwszych klas szkoły podstawowej. W ten sposób stopniowo wchodziłem w posiadanie elementarnej wiedzy z rachunków, czytania i pisania. Moja poczciwa pani nauczycielka, na wszelki wypadek nie zagłębiała mnie w tajniki historii Polski, gdyż jej zdaniem bezpieczniej było nie mówić głośno o tym, że był kiedyś taki kraj jak Polska i że miał do tego swoją historię, która w pewnych swoich rozdziałach mogła być bardzo niemiła dla naszego okupanta.

Mijały dni, miesiące i lata, szlakami kolejowymi przesyłano na wschód potężne transporty sprzętu wojskowego i ludzi. Nad głowami przelatywały liczne eskadry samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach. My, chłopcy rosnący wraz z rozwijającą się wojną, bezbłędnie rozpoznawaliśmy typy samolotów po ich sylwetkach, a nawet po odgłosach silników.

Zaczęły się niebezpieczne zabawy, prowokowane i organizowane przez starszych chłopców. Polegały one na rozbijaniu różnego rodzaju pocisków i niewypałów, z których każdy w przypadku wybuchu, był w stanie przetworzyć nas wszystkich w idealną mielonkę. Widziałem zresztą parokrotnie to, co pozostało z chłopców, którym wybuchła podczas rozbijania mina przeciwczołgowa, a w innym pocisk artyleryjski średniego kalibru. Dziś, kiedy przypominam sobie tamte czasy, zdaję sobie sprawę z tego jak blisko śmierci, lub w najlepszym przypadku ciężkiego kalectwa, byliśmy my wszyscy, bawiący się w "saperów amatorów" i jak ogromne mieliśmy szczęście. Pozyskane z rozebranych pocisków materiały wybuchowe służyły później do strzelania lub puszczania rakiet prochowych.

Dzięki naszym idiotycznym zabawom kiedyś nieomal nie spowodowałem pacyfikacji całej ulicy, a jeśli nie, to w każdym razie naszych najbliższych sąsiadów. Przy okazji, stałem się przypadkowo chyba najmłodszym dywersantem II wojny światowej. Miałem wtedy 6 lub 7 lat. Podczas naszych pirotechnicznych doświadczeń odkryliśmy, że pewien rodzaj prochu strzelniczego, przeznaczonego dla pocisków artyleryjskich, posiada szczególne właściwości. Po zapaleniu jednego końca długiej, cienkiej rurki tego prochu i natychmiastowym zgaszeniu płomienia przez przystawienie do ściany lub drzewa, proch ten zaczynał się gwałtownie jarzyć i tak jak rakietka wylatywał ze świstem w powietrze i w sposób niekontrolowany wywijał w powietrzu nieprawdopodobne ewolucje – aż do pełnego wypalenia się materiału, z którego był zrobiony. Wyglądało to zabawnie, ale było bardzo niebezpieczne. Taka zwariowana pseudorakieta łatwo mogła spowodować pożar lub kogoś poważnie poparzyć.

Kiedyś, kiedy beztrąsko zabawialiśmy się puszczaniem naszych prochowych rakiet na sąsiednim podwórku, pod bramę naszego domu podjechał zaprzężony w dwa konie duży, wojskowy wóz, powożony przez dwóch uzbrojonych, mocno podstarzałych niemieckich żołnierzy. Jeden z nich wszedł do naszego domu (jak się później okazało w poszukiwaniu żywności), drugi natomiast pozostał, siedząc na kozle. Wóz załadowany był pokaźnym ładunkiem siana i słomy. Moi koledzy, widząc żołnierzy, zaprzestali zabawy z prochem, tylko mnie w pewnym momencie znudziło się wyczekiwanie na odjazd żołnierzy i przytknąłem laseczkę prochu, do jarzącej się głowni, tkwiącej w małym, rozpalonym przez nas przed chwilą ognisku. Dalej sytuacja rozwijała się jak na przyśpieszonym filmie. Dymiąca laseczka prochu wyrwała mi się z ręki, wykonała parę efektownych ewolucji, przeleciała ponad dzielącym naszą i sąsiednią posesję płotem i wylądowała wprost w stercie siana z tyłu wojskowego wozu. Widząc co się stało – rozpierczaliśmy się gdzie pieprz rośnie i tylko z daleka zobaczyliśmy po chwili płomienie i słup dymu. Później okazało się, że z całego dobytku pozostał jedynie dyszel, fragmenty kół, para koni i dwóch żołnierzy. Reszta podsycana palącą się jak pochodnia słomą i sianem, spłonęła całkowicie. Rozwścieczeni Niemcy próbowali znaleźć sprawcę podpalenia. Szukali wszędzie z wyjątkiem naszego domu. Stało się tak dlatego, że w chwili pożaru jeden z żołnierzy był w domu, z którego nikt nie wychodził, drugi natomiast cały czas siedział na wozie przy bramie posesji. Nie było zatem żadnego powodu by tam właśnie szukać sprawcy podpalenia. Ja tymczasem siedząc gdzieś w krzakach trząsałem się jak osika, modląc się o to by wszystko zakończyło się szczęśliwie. Na szczęście Niemcy po spenetrowaniu paru pobliskich podwórek i domów, gdzie spotkali głównie ludzi starszych, kobiety i dzieci, powrzeszczeli, oddali parę strzałów w powietrze, wsiedli na oklep na konie i odjechali. Po tym doświadczeniu, długo nie podejmowałem pirotechnicznej zabawy, a każde wyjście na podwórko poprzedzała zawsze czujna obserwacja ulicy – czy aby nie nadchodzi jakiś niemiecki oddział, po to by mnie aresztować. W taki to sposób wzbogaciłem się o nowe doświadczenie, ale też zyskałem ogromny autorytet wśród kolegów. Takiego wyczynu nikt z nich nie dokonał. Mijały dni, jeden podobny do drugiego. Mój ojciec coraz częściej zaczął znikać wieczorami przemykając gdzieś ścieżkami pośród ogrodów. Wracał z tych wypraw późną nocą, a długo prowadzone z mamą dyskusje, kończyły się zawsze lamentem i komentarzem, że jest to najlepszy sposób na to, abyśmy wszyscy z tego powodu cierpieli. Niestety ze względów bezpieczeństwa nie dopuszczano mnie do wiedzy o sekretnych wędrówkach

mego taty, dopiero później, po latach dowiedziałem się, że ojciec był zaangażowany w działalność konspiracyjną. Dorośli dyskutowali o sytuacji na froncie. Coraz głośniejsze mówiło się o kontrofensywie rosyjskiej i czekających nas nalotach.

Pamiętam, że pewnego wieczora usłyszeliśmy bardzo dalekie odgłosy artyleryjskich wystrzałów. Od tego czasu, dzień po dniu dźwięk ten nasilał się niczym odgłos nadciągającej burzy, by wreszcie dojść do wrót miasta. W końcu nadszedł dzień, kiedy rozpoczęły się walki o miasto. To, co działo się wokół nas, nie przypominało już tylko nalotów czy artyleryjskiej kanonady. Rozgorzały walki uliczne, wjechały czołgi i działa samobieżne. Praktycznie był to jeden ciągły odgłos strzelaniny, zmieniający się tylko w zależności od użytej broni. Uwieńczeniem było zbombardowanie dworca kolejowego oraz wojskowego pociągu, z paroma wagonami amunicji. Teraz nie można było odróżnić odgłosów walki od rozrywającej się nieprzerwanie przez trzy doby amunicji. Kiedy wreszcie odgłosy wybuchów ucichły, ktoś odważniejszy wyszedł z piwnicy i zawiadomił nas, że w mieście są już ponownie Rosjanie. Jak się później okazało miasto przejmowane było na zmianę przez Niemców i Rosjan siedmiokrotnie, a walki trwały nieprzerwanie przez parę miesięcy, w rezultacie czego miasto zostało doszczętnie zrujnowane. W międzyczasie Rosjanie zdążyli dokonać doraźnego poboru mężczyzn do tworzonej właśnie w Rosji polskiej armii i wraz z innymi, zabrali mego ojca. Znowu zostaliśmy sami.

Po paru tygodniach walk Rosjanie zarządzili ewakuację ludności poza teren miasta. Pamiętam smutny przemarsz kilku, a może kilkunastu tysięcy ludzi niosących na plecach nędzne resztki ocalałego dobytku, po to by gdzieś w nieznanym miejscu ratować własne życie. Szliśmy początkowo wyludnionymi zniszczonymi ulicami miasta, gdzie aż nazbyt dużo było śladów bardzo niedawnej walki. Zapamiętałem między innymi widok zastrzelonych rosyjskich żołnierzy, zabitych akurat w czasie jedzenia posiłku. Dla mnie było to niesamowite. Zastygłe w bezruchu postacie żołnierzy trzymających w ręku niedojedzone pajdy chleba, łyżki czy menażki i te szklane, wpatrzone w nicość, otwarte oczy. Wszyscy oni siedzieli na okalającym jakiś dom niskim murku, byli bez czapek i tylko maleńkie otworki w głowach oraz niewielka, cienka strużka zastygłej krwi zdradzała, że byli nieżywi. (Teraz domyślam się, że zapewne jeden lub dwóch niemieckich snajperów, siedzących gdzieś na poddaszach domów, wyłuskało tych nieszczęśników widocznych i nieruchomych jak tarcze strzelnicze). Był to jeden z wielu widoków śmierci. Później nie robiło to już na mnie tak wielkiego wrażenia. Niemniej jednak, widok tych paru siedzących zabitych żołnierzy prześladował mnie przez wiele nocy.

Droga, którą ewakuowano ludność miasta prowadziła przez most. Właśnie gdy wkroczyliśmy na ten most, na szczęście dla nas, na drugim jego końcu zaczęły wybuchać pociski artyleryjskie. Nie trzeba dużej wyobraźni, by zorientować się co się działo. Wybuch pierwszych pocisków spowodował śmierć pięciu osób i poranił około dwunastu. Wszyscy leżeliśmy na bruku ostrzeliwanego mostu – czekając na pewną śmierć. Do tej pory nie wiemy, kto nas ostrzeliwał – w każdym razie po pierwszej serii strzałów ogień przerwano i ruszyliśmy dalej. Po wielu godzinach uciążliwego marszu, chowając się od czasu do czasu przed nadlatującymi nisko samolotami w przydrożnych rowach lub krzakach – dotarliśmy pod wieczór do jakiejś wioski. Mimo zmęczenia, moja mama rozpoczęła z paroma mieszkańcami pertraktacje o przyjęcie nas pod dach ich domu. W końcu jedna z rodzin zdecydowała się nas przyjąć. Później okazało się, że będzie to nasze schronienie aż do czasu przesunięcia się frontu daleko na zachód. Tymczasem staraliśmy się urządzić na miarę skromnych możliwości naszych gospodarzy, śpiąc na snopkach słomy, okrytych grubymi lnianymi prześcieradłami na początku przypominającymi papier ścierny, który w miarę użytkowania miękł coraz bardziej, aż wreszcie stał się całkiem miły w dotyku. Niestety znacznie gorzej było z nakryciem. Mieliśmy co prawda zabrany z domu koc, jednak ten w nieogrzewanej wiejskiej chacie w okresie zimy nie zapewniał nawet minimum ciepła. Dlatego też idąc spać nakładaliśmy na siebie możliwie dużo różnorodnej odzieży wyglądając w niej na znakomicie odżywionych, a nawet powiedziałbym – przekarmionych. Tymczasem zdobycie żywności było zasadniczym problemem. Pomysłowość ludzka sprawiała, że wykorzystywano nieprawdopodobnie dużo artykułów, których przedtem nikt nie próbowałby nawet wykorzystać do karmienia zwierząt. O ile pamiętam, dużym wzięciem cieszyła się pokrzywa, mlecz, lebioda, nie mówiąc o prażonych korzeniach buraka cukrowego stosowanego zarówno jako słodzik, ale również jako susz do parzenia czegoś co stanowiło substytut kawy. Do dań specjalnych (nawiasem mówiąc – specjalność domu) należał przekładaniec kiszzonej kapusty na przemian z warstwą ziemniaków. Danie to w odróżnieniu od owych przetworów zielonych charakteryzował nieco bardziej pikantny smak i "wysokie walory dietetyczne" – jako że nie było tam grama tłuszczu. Czasami mojej mamie udało się wybłągać gdzieś odrobinę mleka, co było już wyjątkowym rozpasaniem. Nie potrafię odtworzyć kompozycji składnikowej chleba, ale jestem przekonany, że zawierał on zadziwiające składniki, gdyż jego smak był też niezwykajny. Mówiąc serio – była tam wyjątkowa bryndza i jeśli się komuś wydaje, że wieś, gdzie produkuje się żywność, powinna dysponować szerszym i bogatszym jej asortymentem, to jest w wielkim błędzie. Ścierające się w wojnie strony tak dokładnie wysysały wszelkie zapasy żywności, że sami jej producenci nie byli w stanie zbierać jej nawet na reprodukcję – nie mówiąc o konsumpcji.

Koczując w tych prymitywnych warunkach, już nawet przestałem wyobrażać sobie, że można mieszkać normalnie, spać w łóżku, jadać normalne posiłki. Czasami wojna w sposób wyraźniejszy niż codziennie, zaznaczała swoje trwanie. Pamiętam niewielki oddział niemieckich żołnierzy, będący najprawdopodobniej w odwrocie z wschodniego frontu, zatrzymał się we wsi. Żołnierze w poszukiwaniu jedzenia rozeszli się po domach. Nie byli już tacy sami, jakich znałem z ich ofensywy na wschód. Byli zabiedzeni, głodni, wymęczeni, a poprzedni ton władczych poleceń zmienili na ciche prośby o cokolwiek do zjedzenia. Do domu, w którym mieszkaliśmy, przyszło trzech Niemców, a wśród nich (co mi szczególnie utkwilo w pamięci) nieletni chłopak. Litościwe kobiety napełniły gliniane naczynia naszym „firmowym” daniem tj. kapustą z ziemniakami, na które wygłodniały żołnierz rzucił się jak wilki. Tylko ten biedny chłopaczek położył sobie miskę na kolanach i natychmiast zasnął. Pamiętam komentarze zebranych w izbie kobiet: przecież to jeszcze dziecko – mówiły, życie dopiero przed nim, a tu może przyjdzie mu gdzieś zginąć. Takie wydarzenia jak to, pamięta się do końca życia. Utkwił mi w pamięci każdy szczegół jego umundurowania, zbyt duży i zbyt ciężki karabin i ta zmęczona, brudna twarz śpiącego dziecka.

Coraz częściej – szczególnie nocami podchodziły do wsi rosyjskie grupy zwiadowcze i mimo że formalnie cały ten teren znajdował się pod kontrolą Niemców, to praktycznie nie było ich widać.

Wreszcie doszło do poważnego starcia niezbyt dużego oddziału niemieckiego z rosyjskim oddziałem zwiadowczym, akurat na terenie wsi, w której zamieszkivaliśmy. Była bardzo wczesna, ale już słoneczna wiosna. Któregoś ranka przyleciała zaspana sąsiadka naszych gospodarzy, mówiąc, że za chwilę rozpęta się tu piekło i należy się natychmiast ewakuować. Wyskoczyliśmy w pośpiechu, zabierając z sobą będący zawsze w pogotowiu pakunek na czarną godzinę. Po drodze dołączało do nas coraz więcej uciekających ludzi. Niestety nie uszliśmy daleko. Będąc na wysokości ostatniego we wsi budynku, zostaliśmy przyduszeni do ziemi ogniem z broni maszynowej. Na nieszczęście budynek położony był na górcie, a pozbawiony liści sad, który należało przebiec nie dawał żadnej osłony. Wykorzystaliśmy krótką przerwę w strzelaniu i ostatkiem sił wpadliśmy do tego domu. Nie był on zupełnie opuszczony, gdyż w jednej z izb od strony ogrodu zdążył się już rozlokować rosyjski oddział, z którym jak się okazało właśnie Niemcy toczyli potyczkę. Dowódca nakazał nam przejście do drugiej izby, w której legliśmy na podłodze. Było tam chyba około pięćdziesięciu osób. Wkrótce rozpoczęła się obopólna wymiana ognia z broni ręcznej. Niemcy ulokowali się w innym budynku na drugim końcu ogrodu, nie dalej jak 150 metrów od nas. Świsł kul, trzask odpadającego tynku, czasem brzęk nie do końca wybitej szyby, huk ręcznej broni maszynowej Rosjan oraz monotonnie odmawiana przez leżących na podłodze ludzi modlitwa, tworzyły swoistą mieszaninę dźwięków, która utkwiała mi w pamięci do dziś.

Po pewnym czasie dowódca rosyjskiego oddziału polecił nam opuszczenie domu, gdyż jak powiedział, Niemcy przygotowują się do szturm, a wówczas wystarczyłby jeden granat by wytłuc nas w pień. Nie mieliśmy wyboru. Rosjanie nakazali ewakuację przez jedno z bocznych okien, co dawało pewną osłonę przed bezpośrednim ostrzałem. Kazano nam biec później w górę sadu, w taki sposób, by opuszczany budynek możliwie jak najdłużej dawał nam osłonę od tyłu. Zaczęliśmy wyskakiwać. Jeden z żołnierzy stał przy oknie i wychylając się co chwilę wypuszczał kolejną grupkę paru osób. Nie pamiętam w jakiej kolejności opuszczaliśmy budynek. Wiem tylko, że pierwsza wyskoczyła moja matka, której żołnierz obiecał pomóc w mojej ucieczce przez okno. Wdrapałem się na parapet od strony pokoju, właśnie miałem się odbić do skoku, kiedy żołnierz wychylił się przez okno kolejny raz i zastygł w bezruchu ugodzony niemiecką kulą. Być może, gdyby nie on – nie byłoby teraz opisu tych wydarzeń, a w każdym razie nie ja byłbym jego autorem.

Nie mogąc powstrzymać rozmachu, jaki wziąłem by wyskoczyć, wypadłem w dół i wraz z mamą popędziliśmy co sił w nogach – byle dalej od tego koszmaru. Dziwne wydaje mi się teraz to, że biegnąc nie słyszałem huku wystrzałów, natomiast wyraźnie słyszałem świst kul i ich „packanie” o ziemię. Na szczęście, żadna z nich nas nie dosięgła. Ledwie dobiegliśmy poza zasięg pocisków i ukryliśmy się w jakimś zakrzaczonym zagajniku – usłyszeliśmy kroki biegnących z przeciwka rosyjskich żołnierzy, którzy przybywali na pomoc kołegom uwięzionym w tym nieszczęsnym domu. Niestety nie znam przebiegu tej walki. Pamiętam jednak, że parę dni później kiedy szliśmy z mamą do następnej wsi, by być bliżej naszego miasta, zobaczyliśmy na skraju wsi, niedaleko od miejsca tej potyczki, 35 zupełnie nagich męskich ciał, z czego wywnioskowaliśmy, że był to cały oddział niemiecki, który stoczył tę potyczkę, został pokonany, a żołnierze rozstrzelani.

Kiedy dotarliśmy do sąsiedniej wsi, dowiedzieliśmy się, że mimo trwających w mieście walk, część ewakuowanych ludzi zdecydowała się wrócić do swoich domów. My jednak pozostaliśmy jeszcze około tygodnia, koczując w jakimś na wpół rozwalonym domu, w którym ocalała jedna izba. Wreszcie dotarła do nas wiadomość, że miasto jest wolne, a front przesunął się daleko na zachód. Był to sygnał do powrotu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, mama dogadała się z jednym z miejscowych rolników, który właśnie musiał pilnie jechać do miasta i zgodził się zabrać nas z sobą. Kilkunastokilometrowa podróż furmanką dawała możliwość dokładnego obejrzenia ogromu zniszczeń dokonanych w toku walk. Widok był naprawdę przejmujący. Niemal każdy skrawek drogi przemawiał do nas dołami po wybu-

chach pocisków, resztkami porozbijanych pojazdów i broni, osmalonymi i dziwnie okaleczonymi przydrożnymi drzewami. Z rosnącym niepokojem wyglądaliśmy spotkania z naszym miastem, a raczej to, co z niego pozostało. Po ponad dwugodzinnej podróży dotarliśmy do rogatek miasta. Już z daleka czuć było swąd spalenizny, nad miastem wisiała mgła utworzona z ciężkiej warstwy dymu. Widok jaki roztaczał się ze wzgórza od strony, z której nadjechaliśmy był szokujący. Nie można było rozpoznać niczego charakterystycznego ze znanej nam sprzed wojny panoramy miasta. Praktycznie nie można było odszukać żadnego punktu odniesienia, by móc określić którąkolwiek część miasta. Zaczęliśmy się posuwać klucząc pomiędzy wyrwami w jezdniach i zwałami gruzów, by w końcu zatrzymać się, gdyż dalsza część ulicy była nieprzejezdna. Mama postanowiła dalszą część drogi pokonać pieszo. Podzieliliśmy rolnikowi i ruszyliśmy piechotą. Idąc wolno mieliśmy możliwość dokładnego obejrzenia tego, co zostało z miasta. A zostało naprawdę niewiele. Spalone lub zupełnie zburzone domy, jezdnie przysypane gruzem, w wielu miejscach wyrwy spowodowane wybuchem bomb lub pocisków i wokół niesamowita cisza, przerywana od czasu do czasu jakimś odległym, pojedynczymi karabinowymi wystrzałami. Dotarliśmy w końcu do naszego domu, który, o dziwo, jakimś cudem ocalał, jednak jego otoczenie było zupełnie zmienione. Sąsiadujące po obu stronach naszej posesji piętrowe domy, były całkowicie spalone. Ściany naszego domu były gęsto postrzelane z broni ręcznej, część dachu była zniszczona jakimś pociskiem artyleryjskim, a na środku podwórza – stosunkowo blisko domu, widać było ogromny (ogromny jak na moje dziecięce pojęcie wielkości) lej po bombie lotniczej. Parę podobnych lejów było w ogrodzie. Oczywiście nie było mowy o jakichkolwiek całych oknach czy drzwiach, ale jakiś dach nad głową był. Mieszkanie ogołocone było doszczętnie, jakąś pierzynę i dwie poduszki mama znalazła w okopie wykopanym w ogrodzie. Wszystko to było mokre i posiadało rdzawe odciski magazynków do ręcznej broni maszynowej i zasobników na taśmy naboju do ciężkiego karabinu maszynowego. Pamiętam, że od tego czasu pierzyna ta, po doprowadzeniu jej do czystości, służyła nam jeszcze przez parę lat, strasząc wspomnieniami przy okazji każdej zmiany poszewki.

Zaczęło się wielkie sprzątanie i prowizoryczne naprawy. Mama dokonywała „cudownego rozmnażania” żywności, stosując sobie tylko znane metody handlu wymiennego. Wkrótce odwiedziliśmy dziadków, którzy mieszkając na obrzeżu miasta nie byli ewakuowani. Na szczęście wszyscy byli żywi i w miarę zdrowi. Czekala na nas też radosna wiadomość o ojcu. Okazało się, że zaraz po dowiedzeniu poborowych na punkt zborny (jeszcze na terenie dawnej Polski), ojciec poważnie zachorował, co wymagało hospitalizacji. Przeleżał biedak parę miesięcy w różnych szpitalach, by w końcu uzyskać zwolnienie ze służby liniowej. Skierowano go wówczas najpierw do służb kwatermistrzowskich na terenach wyzwolonych przez wojska rosyjskie, a później polecono organizowanie rozruchu ocalałych z wojny zakładów produkcyjnych na potrzeby armii (skóry, tekstylia itp.).

Pobyliśmy parę dni w domu dziadków, gdzie z uwagi na większą liczbę osób było znacznie raźniej. Profilaktycznie nocowaliśmy jeszcze w piwnicy, ale okazało się to już zupełnie niepotrzebne. Niemieckie samoloty rzadko już zapuszczały się nad nasze miasto, jakkolwiek parokrotnie miałem okazję obserwować walkę powietrzną i byłem niepokojony, kiedy w najlepszym momencie zostałem przez mamę wciągnięty do piwnicy. Po paru dniach otrzymaliśmy od ojca pisemną wiadomość doręczoną przez osobę przejeżdżającą przez nasze miasto. Ojciec informował, że znajduje się w miasteczku „X”, gdzie polecono mu zorganizowanie i nadzór nad istniejącą garbarnią. Z uwagi na fakt wojskowego nadzoru nad wszystkimi obiektami pracującymi dla zaopatrzenia armii, ojciec niestety nie mógł nas przetransportować, dlatego prosił mamę o próbę samodzielnego przyjazdu wraz ze mną. Mama rozpoczęła poszukiwania środka lokomocji. Któregoś dnia dogadała się z wojskowym szoferem, który właśnie jechał w tamtą stronę i tym sposobem dotarliśmy na miejsce i zamieszkaliśmy razem z ojcem. Domek służący jako biuro i służbowe mieszkanie, położony był na skraju ogromnej łąki, jako jedyny obiekt w promieniu paru kilometrów. Na drugim końcu łąki znajdowała się owa garbarnia, a parędziesiąt metrów za nią (o zgrozo!) wojskowe lotnisko polowe ze sporą liczbą samolotów.

Po paru dniach spokoju, pewnej nocy rozpoczęło się istne piekło. Nadleciało kilkadziesiąt niemieckich samolotów i po odpaleniu kilkudziesięciu flar, zmieniających noc w dzień – rozpoczęło się (jak mi się wówczas wydawało) niekończące się bombardowanie. Na domiar złego domek w którym mieszkaliśmy, z uwagi na wysoki poziom wody gruntowej, nie posiadał piwnicy. Jedynym zatem sposobem zabezpieczenia było leżenie na podłodze i czekanie kiedy któremuś z pilotów coś się przywidzi lub kiedy źle sobie obliczy cel. Takich „upojnych” nocy było kilkanaście. Widząc, że sytuacja może być niebezpieczna, rodzice zdecydowali, że lepiej będzie, kiedy ja z mamą wrócimy do naszego domu, a ojciec postara się o zmianę przydziału i zatrudnienie gdzieś w pobliżu. Tak się też stało.

Życie w mieście powoli nabierało cech normalności. Zaczęto usuwać gruz, naprawiać to, co było do naprawienia. Coraz głośniejsze mówiono o repatriacji polskiej ludności poza tereny Podola. Ustały niemieckie naloty, natomiast coraz częściej odbywały się przeloty setek rosyjskich bombardowców, samolotów szturmowych i myśliwców zmierzających w kierunku Niemiec. Kiedy dokonywano pierwszego takiego nocnego przelotu, wszyscy uciekliśmy do piwnicy, czekając na bombardowanie. Mijały minuty i nie słychać było wybuchów tylko monotonny ryk wielu setek silników samolotowych. Taki przelot

---

trwał bardzo długo i należało domyślać się ogromnej liczby samolotów. W kilka dni później taka sama nocna „serenada” wyrwała nas ze snu, ale wówczas już nie schodziliśmy do piwnicy. Niemieckie samoloty praktycznie już do nas nie docierały. Tylko raz pamiętam walkę powietrzną prawie bezbronnego rosyjskiego transportowca z dwoma niemieckimi myśliwcami, które w końcu zestrzeliły rosyjski samolot. Załoga uratowała się skacząc ze spadochronami, a wrak samolotu spadł na niezabudowany teren, niedaleko domu. Był to jak się później okazało amerykański Douglas dostarczony zapewne Rosji w ramach pomocy wojennej. Chodziliśmy tam później z ojcem parokrotnie, podziwiając to ogromne „ptaszysko”. Odgłosy wojny oddalały się od nas coraz bardziej. Wszyscy ocaleni z tej potwornej pożogi starali się stworzyć sobie jakieś minimum egzystencji. Komunikaty z frontu mówiły o bliskim końcu wojny i mających nastąpić po niej nowych regulacjach granic. Pewnej nocy, kiedy już prawie zapomnieliśmy o hałaśliwych przelotach samolotów, obudziła nas niesamowita strzelanina, trwająca prawie do rana. Nikt nie wiedział co się stało. Mama ponownie zaczęła w pośpiechu pakować najniezbędniejsze rzeczy, gdy bardzo wczesnym rankiem wpadł do nas sąsiad z wiadomością, że właśnie skończyła się wojna, a strzelanina to salwy wiwatujących żołnierzy.

Po ponad pięcioletnim okresie strachu, wyrzeczeń, trudów i walki o przeżycie, skończyła się okrutna i bezwzględna wojna. Potem była wielotygodniowa tułaczka spowodowana repatriacją i nowa karta w moim życiu i życiu mojej rodziny. Ale to już zupełnie inna historia.

\* \* \*

Akcja opisanych wydarzeń z lat 1939-1945, miała miejsce kolejno w Tarnopolu, we wsi Zabojki i Zbarażu. Niektóre wydarzenia mogą być podane w niedokładnej chronologii historycznej, co wynika z trudności w odtworzeniu tego, co zapamiętałem jako dziecko i co próbowałem odtworzyć, kojarząc to mniej więcej z faktami.